

CZESŁAW ZNAMIEROWSKI

WŁADCA PAŃSTWA I ZBIOROWOŚĆ PAŃSTWOWA

Żyjąc w państwie o ustroju na wskroś demokratycznym, zapominamy łatwo i wręcz nie możemy sobie żywo przedstawić tego, iż na przestrzeni długich wieków, a nawet tysiącleci, jedyną formą ustroju państwa był ustrój jedynowładczy. A przecież właśnie od tej postaci państwa rozpoczynać należy rozważania jego natury, w nim bowiem zarysowują się najbardziej wyraźnie zasadnicze cechy tej ważnej instytucji.

Jedynowładztwo. Ustrój państwa jest jedynowładczy w ściślejszym znaczeniu, gdy jedna osoba rzeczywiście w tym państwie panuje i rządzi. Piotr rządzi samodzielnie i samowładczo, gdy sam, bez żadnego wpływu z zewnątrz i bez żadnych ograniczeń podejmuje wszelkie zasadnicze decyzje w sprawach państwowych i daje rozstrzygające wskazania ciału wykonawczemu. Piotr natomiast tylko panuje, lecz nie rządzi, gdy desygnuje jedynie jedną osobę lub ciało zbiorowe, które już samo podejmuje decyzje i rządzi, choćby czasem nawet z pozornym udziałem panującego, który to udział polega na tym, że władca obowiązany jest położyć swój podpis pod decyzją, podjętą zgodnie z normami przez jedną osobę, lub przez ciało zbiorowe.

Taki pozór władzy może się też rozciągać i na desygnację osoby lub osób rządzących: pozorny władca jest obowiązany podpisywać mianowania, dokonane w sposób przepisany. Takie panowanie szczątkowe utrzymuje się zazwyczaj jako przeżytek i relikט rzeczywistej władzy dawnego władcy, lub jego bliższych czy też dalszych przodków. Jest ono świadectwem, że dana zbiorowość ceni pozory, w których ucieleśnia się jej przeszłość i tradycja, dostojna patyna dawności.

Zresztą w ustroju jedynowładczym niemal zawsze i niemal z konieczności tai się podstawowe złudzenie, jakoby jedna osoba mogła podejmować decyzje, opierając się jedynie na własnej wiedzy, zdobytej samodzielnie, i kierując się jedynie własną wolą. W ogromnej większości przypadków władca polega na informacjach, jakich mu dostarczają jego doradcy; a tylko władca o wyjątkowej indywidualności i woli podejmuje decyzje, nie ulegając żadnym wpływom. Przeważnie nato-

miast szalę jego decyzji obciążają swoją jawną radą oficjalni doradcy, podszeptem zaś faworyci i kurtyzany, najczęściej podtrzymując go rozumnie w mniemaniu, że decyduje o wszystkim samodzielnie, własną inwencją genialną i niezłomną, a niezależną od nikogo wolą.

Pamiętając o tym mirażu jedynowładcy, można niemniej rozróżnić rodzaje tego ustroju z różnych punktów widzenia.

Przed wszystkim, po pierwsze, różnią się ustroje jedynowładcze zależnie od tego, czy władca wywodzi swoją moc władczą z jakiejś normy lub czyjejś woli, czy też w swoim rozumieniu i w rozumieniu innych ludzi zagarnął władzę wolą i mocą własną, nie oglądając się na żadne normy i na niczyją wolę. Pierwszy ustrój¹ jest monarchią, drugi dyktaturą.

Zgodnie z tym monarchia ma zawsze poczucie, że sprawuje swoją władzę na podstawie prawa, a więc legalnie, i że ma uprawnienie władcze dzięki temu prawu. Jeśli rozpoczyna nową dynastię z wyboru zbiorowości państwowej, to ten wybór, akt wcześniejszy niż jego moc władcza, jest źródłem prawnym jego władzy. Często bywa przy tym, że wybór ten zostaje jeszcze wzmocniony sakrą duchową, pomazaniem, które jest obrzędem magicznym lub religijnym. W tym obrzędzie władca z wyższego porządku rzeczy, który obejmuje nadrzędnie również porządek rzeczy państwowych, otrzymuje confirmację swoich praw świeckich i staje się przez to reprezentantem i ucieleśnieniem dwojakiego porządku rzeczy: nadprzyrodzonego i naturalnego, inaczej świeckiego.

W tym granicznym, a jednocześnie wzorcowym przypadku władca jest podwójnie prawowitym panem swego państwa: w swoich oczach i w oczach swego ludu ma podwójne uprawnienie, boskie i ludzkie, by tym państwem władać. I ściśle biorąc, w myśl historycznej tradycji, monarchą lub królem jest właśnie tylko ten władca, który ma ten podwójny tytuł do władzy. Bez tego przeświadczenia, magicznego lub religijnego, władca jednoosobowy, choćby prawowity wedle praw ludzkich, nie ma władczego uroku, który tradycyjnie zwie się majestatem i dzięki któremu władca wznosi się jak gdyby ponad porządek ludzki i staje ponad hierarchią godności i dostojeństw państwowych: z jego majestatem żadne dostojeństwo doczesne równać się i porównywać nie może.

Prawowitą władzę monarszą zdobywać można przez zgodne z prawem dziedziczenie. Władza i własność nieostro różnią się od siebie w swych początkach; i władza na podobieństwo własności przechodzić może z pokolenia na pokolenie. Magiczna myśl, idąc za stosunkiem, pokrewieństwa, przenosi majestat władczy i moc władczą z jednej osoby na drugą. Następca tronu już za życia swego poprzednika przyzwyczajają się do myśli, że na niego przejdzie moc władcza. A jego poprzednik na

tronie sam umacnia go w tej myśli i często go przygotowuje do sprawowania władzy w przyszłości. W oczach zaś podwładnej zbiorowości, która uznaje moc władczą poprzednika, jego następcą ma ten sam tytuł do władzy, to znaczy: tę samą podstawę prawną, by panować. I w jej oczach, gdy widzi następcę tronu u boku monarchy, niewidzialna moc władczą przechodzi jakoś magicznie na przyszłego dziedzica korony.

Ustrój monarchiczny jest oparty na trwałej równowadze, jeśli nie ma w nim zbyt widocznych krzywd i niesprawiedliwości. W osobie monarchy masy mają przedmiot magicznego czy też religijnego kultu, którego potrzebują. Ta osoba przy tym jest jednocześnie symbolem jedności i majestatu państwa, które roztacza opiekę nad tymi masami i daje im poczucie bezpieczeństwa i poczucie zbiorowej mocy. Jeśli więc nie drażni tych mas zbyt jawna i zbędna przemoc i jeśli nie pogarsza się zbyt widocznie ich sytuacja materialna, to trzymają się one swego monarchy, darząc go przywiązaniem. I nawet ludzie najbardziej ambitni nie dążą do tego, by przez zmianę władcy osiągnąć osobiste korzyści. W monarchii jednostka, związkami krwi nie związana z domem panującym, choćby najbardziej ambitna i zdolna, nie ma widoków, by się wnieść na tron, oddzielony dystansem ogromnym nawet od najbardziej znakomitych poddanych. Zaspokoić więc ambicję można tutaj raczej służąc tronowi niż go podważając; i raczej zjednując sobie przychyłność władcy niż prowadząc przeciw niemu knowania.

Przeciwstawieniem monarchii jest dyktatura, jeśli przez nią rozumieć ustrój, w którym jeden człowiek sprawuje władzę silną i rozległą wyłącznie z tytułu swej mocy. Zdobywa on władzę albo zwycięstwem w walce, albo jakimś podstępem, albo budząc w masach jakieś nadmierne nadzieje, i ma poczucie tak wielkiej mocy osobistej, że nie czuje nawet potrzeby, by czymkolwiek legitymować swoją władzę. Wystarczy mu jego moc własna, którą wzmaga i utrwała, starannie organizując ciało wykonawcze, którego jednym z głównych zadań staje się ochrona jego osoby. Jeśli zaś uważa za wskazane wesprzeć swoją moc jakimś wierzeniem magicznym, to tworzy koło siebie mit osobisty, nie sięgając po uzasadnienie swojej władzy w minione dzieje. Właśnie charakterystycznym rysem dyktatora jest to, że nie przychodzi on, by nawiązywać do przeszłości, lecz przychodzi na to, by ją przekreślić i dzieje tworzyć dalej na nowo. Dyktator więc nie ma szacunku dla tradycji i nawet raczej niszczy ją rozmyślnie jako gruzy, które mogą mu przeszkadzać w przejrzystym i wygodnym rozplanowaniu nowego ładu.

Dyktator przeważnie jest uzurpatorem: zagarnia władzę, która wedle praw dotychczasowych winna się znajdować lub znaleźć w innych rękach. Najczęściej też uroszczeniami swymi do władzy sięga szerzej i głębiej niż to wyznaczają normy dotychczasowe. Przy tym w swoim

działaniu władczym dyktator zazwyczaj stawia sobie cele bardziej określone i bliższe niż monarcha, a „tym samym stara się działać szybciej i energiczniej. Zazwyczaj dąży do władzy już z pewnym określonym i przeważnie szeroko zakrojonym planem: najczęściej przeciwstawia się radykalnie istnjącemu porządkowi rzeczy i chce go zmienić gruntownie w ciągu swojego jeszcze życia.

Dyktator bowiem najczęściej nie ma zamiaru, przynajmniej na razie, zakładać nowej dynastii, lecz oblicza całą swoją akcję w granicach swego życia. Legować swoje plany następcy i dziedzicowi, to uznać od razu, że się nie uważa siebie za osobę szczególnie zdolną osiągnąć postawione cele. Tymczasem dyktator, zdobywając władzę, stara się przedstawić w oczach zbiorowości siebie właśnie jako taką szczególnie uzdolnioną osobę i tym zjednuje sobie nieraz sympatię mas, budząc w nich nadzieje, które często później okazują się złudne. Dyktator w swej postawie uczuciowej i w trybie realizacji swych zamierzeń podobny jest do artysty: cały swój program życiowy chce zrealizować za swego życia i wyłącznie własnym wysiłkiem. Toteż nie dziedziczy się dyktatury; jeśli następca, nawet dziedzic z krwi, staje się też dyktatorem, to zdobywa tę pozycję własnym wysiłkiem i ewentualnie własną zasługą. Chyba że dyktator dzięki sukcesom swojej władzy zdobędzie taką pozycję władczą, iż się przeobrazi niepostrzeżenie, albo jawnie i wyraźnie w legalnego monarchę, którego dziedzic przez związek krwi będzie już następcą tronu. A nieraz zdarza się w dziejach, że dyktator ze swego żołnierskiego siodła zapragnie się przenieść na wygodny stolec tronowy.

Dyktator, jeśli nawet zdobył władzę podstępem lub przemocą, których nie wspomagały masy, musi przecież utrzymywać ją w swoich rękach z pewną pomocą tych mas. Nie mogą tu one wierzyć w nadprzyrodzony początek władzy, bo na ich oczach zdobył ją dyktator w zmaganiach, które często graniczyły ze zbrodnią, albo nią były niewątpliwie. Ażeby więc te masy wesprzeć zechciały dyktatora, trzeba koniecznie, by on zaskarbił sobie ich przychyłność. Czyni to też najczęściej dyktator, niby aktor, który zjednuje sobie przychyłność tłumu obliczonym na poklask gestem. I dyktator musi wciąż podtrzymywać sympatie mas, rzucając im w niezbyt długich odstępach czasu coraz to nowe sukcesy, niby kiesę złota, która wywołuje wybuch żywiołowej radości i nadzieję na dalsze korzyści. Chwieje się też prestiż jego władzy i przymiewa się blask jego dyktatorskiego uroku, jeśli nie przychodzą dość często te sukcesy. A na wielkie wystawia się ryzyko dyktator, jeśli w początkach swej władzy budzi nadmierny i histeryczny entuzjizm mas. Nieprzezorny, nie myśli o tym, że nie może w swym panowaniu stale osiągać takich powodzeń, by nie słabło to uniesienie mas, które zawsze ma w sobie coś z chorobliwej euforii.

Gdy zaś to uniesienie słabnie w masach, zjawia się w nich rozczarowanie i zawód, nastroje niebezpieczne dla dyktatora. Są one bowiem znakiem, że się wyczerpuje jego kapitał sugestii u mas. Bezpieczniej jest dla niego nie podgrzewać entuzjazmu mas do temperatury białego żarzenia i trzymać je w dobrym poczuciu dnia codziennego w którym nie ma rzeczy niezwykłych. Tak właśnie czyni roztropny i mądry doświadczeniem pokoleń monarcha oraz rozważny i umiarkowany w swoich planach dyktator. Wtedy właśnie dyktator staje się podobny do monarchy i może ewentualnie liczyć na zawłaszczenie władzy monarszej, o czym nieraz śnią dyktatorzy.

Zróżnicowanie zbiorowości państwowej Od wieków poddani oceniają jawnie albo w skrytości ducha swoich władców. Podobnie czynią dziejopisarze wydając retrospektywnie przychylne albo potępiające wyroki na władców przeszłości. Jedni i drudzy mają w swych osądach na widoku to, czy i w jakim stopniu dany władca powiększył dobro powszechne albo przyczynił szkody zbiorowości swojego państwa. W tych sądach przedstawiają sobie zazwyczaj upraszczająco, że zbiorowość państwowa ma strukturę jednolitą, że wszyscy jej członkowie mają jednakowe potrzeby, interesy i nawyki, oraz że jedno i jednakowe dla wszystkich mocą samej definicji jest dobro powszechne. I orzekają niefrasobliwie, czy władca ma na widoku to dobro powszechne, czy je ochrania i pomnaża swoimi rządami i czy naprawdę się troszczy o nie.

Ale rzecz nie ma się tak prosto, jak to ujęliśmy powyżej w schemacie, wedle którego zbiorowość państwowa dzieli się tylko na ciało władcze, na ciało wykonawcze i na jednorodną masę wiernych poddanych. Te dwa ciała w państwach nie składają się z celibatariuszy czy też zakonników, nie związanych z resztą zbiorowości żadnymi węzłami związków krwi. Przeciwnie, członkowie obu tych ciał pozostają w stosunkach pokrewieństwa z innymi członkami zbiorowości.

Monarchiczny władca ma rodzinę, a często cały ród koło siebie, z którego wyjdzie później jego następca, a który swym stanem majątkowego posiadania, swym trybem życia i swym wyniesieniem społecznym ponad resztę zbiorowości państwowej ostro się z niej wydziela jako społeczność, szczelnie zamknięta i dla innych niedostępna. Tylko władca wprawdzie jest w naszym ujęciu najwyższym organem państwa; ale cały ród władczy ma w zbiorowości państwowej szczególną pozycję społeczną i szczególne dostojęństwo. Ten ród nie panuje w państwie i nie rządzi, ale jest zespołem odrębnym od reszty zbiorowości i żyje zazwyczaj zamknięty w sobie w myśl reguł szczególnych, które mają podtrzymywać jego splendor i jego dostojęństwo. Toteż członkowie rodu mają wiele interesów wspólnych. Przede wszystkim zależy im wszystkim na tym, żeby władca, członek ich rodu, swymi rządami przysparzał jak

najwięcej blasku całemu rodowi. Popierają go więc w jego poczynaniach; wielu mężczyzn tego rodu należy do drużyny władczej i bierze udział w jego przedsięwzięciach zbrojnych, a inni znowu pełnią funkcje państwowe, szczególnie odpowiedzialne, i podejmują misje poufne, jakie władca może powierzyć tylko ludziom bardzo zaufanym.

urabiają też oni opinię społeczną przychylnie dla władcy: chwalą jego poczynania, uzasadniają jego plany, odpierają zarzuty, które bezpośrednio nie dochodzą do wysokości tronu. Służą mu też swoją radą, w której lojalność i szczerłość może on wierzyć ze względu na to, że przecież ściśle związane są ich losy z jego losami. Ale też ci członkowie władczego rodu oczekują i żądają od władzy obfitych i stale spływających korzyści: to jest cena poparcia, jakiego mu użyczają. I czasem ta cena staje się bardzo wysoka i uciążliwa dla władcy. Nieraz właśnie z samego rodu władczego wychodzą niebezpieczni dla spokoju państwa współzawodnicy władcy, których musi on pokonywać w walce; nieraz członkowie władczego rodu przebierają miarę w korzystaniu ze swoich przywilejów i wywołują zgorszenie, które, jak to zobaczymy później, obniża autorytet samego władcy. Tu jest istotne tylko to, że koło władcy powstaje zawsze i trwale istnieje otoczka władczego rodu, który ma szczególną pozycję w zbiorowości państwowej, bo ma szczególne uprawnienia, przywileje i dostojęństwo społeczne.

Ale drużyna władcy, która mu pomaga w rządzie państwem, nie składa się z samych ludzi bezzennych. Jej członkowie też są głowami rodzin i rodów i dostojęństwo społeczne, które przysługuje członkom drużyny ze względu na ich funkcję w państwie, promieniuje na ich rodziny i wydziela je z masy podwładnej. Promieniuje ono tym bardziej, że te rodziny partycypują w dobrach materialnych, jakimi władca nagradza swoich wiernych pomocników. Te dobra dają wyróżnionym rodzinom i rodom dobrobyt materialny i zdejmują z nich pracę fizyczną, bez której inni, niewyróżnieni, nie mogą sobie zdobyć środków do utrzymania życia. I to nie tylko zdejmuje z wyróżnionych trud i znój pracy na chleb powszedni, lecz jednocześnie uzależnia od nich tych innych, którzy albo muszą przynosić okresowo gotowe dary, albo na ich ziemi wykonują świadczenia, które dadzą plody ziemi.

Łaska władcy tedy tworzy pierwszy ważny przedział w zbiorowości między tymi, co są obciążeni koniecznością pracy, a tymi, co mogą żyć, i to żyć dobrze, z pracy cudzej. Przy tym, jak gdyby na przekór życzliwości powszechnej, wyróżnieniem zaszczytnym i przywilejem staje się w zaraniu wszelkiego państwa nie pracować na chleb powszedni, lecz go otrzymywać gotowym z rąk tych ludzi, na których nie spoczęła łaska władcy, albo spoczęła wyraźnie niełaska. Dla tych członków drużyny, którzy biorą udział w trudach i niebezpieczeństwach czynności

władczych swego pana, te dobra i świadczenia, co ich zwalniają z pracy na chleb, są w części po prostu warunkiem koniecznym tego, by drużyna mogła swobodnie i wyłącznie służyć swemu władcy i dobru państwa, w części zaś są premią za oddane usługi, w części zaś wreszcie są udziałem w łupie, zwycięsko zdobytym na wrogu.

Dla potomstwa tej drużyny natomiast są już one tylko darmym darem przychylnego losu. Ten los daje szczęśliwym potomkom udział w przychodzie z pracy cudzych rąk i z tego odziedziczonego przywileju czyni wyróżnienie społeczne. Władca bowiem, dobra ruchome z reguły oddaje swoim wojom jako własność nieograniczoną, a ziemie często daje na własność lub w takie posiadanie, z którego jej wyrwać niepodobna nie wystawiając na wstrząs porządku społecznego.

Ci wyróżnieni członkowie drużyny przy tym dbają nie tylko o dziedziczną wieczność swego prawa własności do dóbr materialnych i ziemi, lecz również i o to, by tylko ich potomstwu mogły przypadać w udziale te funkcje państwowe, które dają styczność z władcą i widoki na wyróżnienie. Zazwyczaj udaje się im wymóc na władcy, że przywilejem ich oraz potomstwa staje się uprawnienie do tych funkcji, a nieraz nawet uprawnienie wyłączne do posiadania na własność ziemi. To stwarza im pozycję zupełnie odrębną w zbiorowości i opiera ich byt o czynnik najbardziej podstawowej produkcji, jakim jest właśnie ziemia. Jeśli ktoś inny, kto nie ma własnej ziemi, będzie chciał jednak swoją pracą wydobywać z niej płody, to musi wejść w zależność od jej właściciela i za dostęp czasowy do jego ziemi oddawać mu część zdobytych płodów, a w nich część swej pracy, najczęściej *partem leoninam*.

To prawo podstawowe do ziemi zaś zdejmuje tu z właściciela ciężar znoјnej pracy na tej ziemi. W ten sposób wyposażona w szczególnie uprawnienia i powinności, utrwalone w normach prawnych, drużyna wraz ze swoim potomstwem staje się ostro wydzieloną częścią zbiorowości państwowej: rycerskim stanem uprzywilejowanym. Ten stan zajmuje pozycję nieco niższą niż ród władczy. Ale ma z nim wiele interesów wspólnych: razem z tym rodem należy do otoczki społecznej władcy i losami swymi jest związany; zwolniony też jest od pracy fizycznej, która staje się przez to oznaką społecznego upośledzenia tej części zbiorowości, co ją dla chleba powszedniego wykonywać musi.

Obok stanu rycerskiego u samych początków każdego niemal pierwotnego państwa zjawia się stan kapłański. Nieraz władza państwowa rodzi się i formuje wraz z mocą kapłańską: ktoś staje się władcą przez to, że ma moc nadprzyrodzoną, daną mu przez Boga. A w każdym razie władca stara się przychylnie usposobić do siebie moce nadprzyrodzone właśnie przez pośrednictwo magów i kapłanów. Zazwyczaj tworzą oni korporację zamkniętą, od społeczeństwa świeckiego wyraźnie odgrani-

czoną: należą do niej tylko ci, co mają moc nadprzyrodzoną, jaką otrzymali wprost od bogów albo z rąk innych kapłanów jako sakrę. Ten stan kapłański ma u szerokich mas najczęściej autorytet, który się nie wywodzi z mocy władczej. I władcy zależy na tym, by stan kapłański go wspierał i tym swoim autorytetem zwiększał jego moc władczą. Toteż władca obdarza zazwyczaj stan kapłański swoją łaską szczególną i dobrami materialnymi, dzięki którym kapłani, podobnie jak rycerze, nie potrzebują pracować na chleb powszedni.

Z grubsza więc biorąc, powstaje w ten sposób podział dwudzielny w zbiorowości państwowej na tych, co swoją pracą zdobywają chleb powszedni i na tych, co żyją znacznie lepiej od tamtych z cudzej pracy, ponosząc jednak trudy obrony całej zbiorowości. Ale na tym się nie kończy zróżnicowanie tej zbiorowości. W masie pracującej powstają dalsze różnice w sposobie zarabkowania: jedni pracują na roli, inni łowią zwierzęta i na nie polują, inni budują domy, jeszcze inni przygotowują dla tamtych odzież i oddają im różnorakie usługi. Te zajęcia nierówną przynoszą korzyść i nierówną dają ilość dóbr do spożycia. Najczęściej jednak tylko taką, że jej nie starcza, by część na przyszłość odłożyć. Ci ludzie więc albo zgoła nie powiększają swego stanu posiadania, albo go powiększają nieznacznie, tak iż w każdym razie muszą zaspokajać swoje najważniejsze potrzeby.

Ale niemniej z tymi różnymi zajęciami łączą się różne, odmienne interesy. Rolnik chciałby jak najwięcej ziemi zagarnąć pod pług, hodowca zwierząt potrzebuje rozległych pastwisk, a łowca zwierząt chciałby zachować dla zwierzyny jak najwięcej lasów i nienaruszonych stopą i ręką ludzką pustkowi i ostępów. A gdy przychodzi do wymiany wytworów pracy i wszelkich innych dóbr, to kontrahenci stają naprzeciw siebie, niby przeciwnicy w walce, w której każdy chce zdobyć dla siebie jak najwięcej dóbr cudzych. I w tej cichej walce sprzymierzają się ze sobą ludzie jednego zajęcia, by przez zgodne i rozmyślne działanie osiągnąć jak najlepsze warunki wymiany swych produktów.

Przy tym zależnie od tego, jaką ilość i jak różnych dóbr potrafią sobie zdobyć własną pracą i wymianą, ustala się pewien przeciętny tryb ich życia, odrębny dla różnych zajęć i dla różnych przychodów przeciętnych. Stąd powstają dalsze stany. Już nie uprzywilejowane, jak owa drużyna władcy, ale utrwalone również nowymi normami, zwyczajowymi i stanowionymi, które wyznaczają im zakres ich pracy, często stwarzają dolną i górną granicę przychodu i odpowiednio do tego przychodu regulują ich tryb życia. Inaczej żyje rolnik niż mieszkaniec miasta; inaczej łowca i myśliwy w puszczy niż rzemieślnik na ludnym rynku lub w wąskiej i natłoczonej mieszkańcami ulicy; a jeszcze inaczej kupiec, który ze swymi towarami wciąż odbywa dalekie podróże.

Toteż ta masa pracująca, równa w tym, że zmuszona do pracy, nie jest jednolita co do swojej struktury, co do swoich potrzeb, nawyków i interesów. Stąd zaś nie ma w niej jednolitego systemu ocen i wzorców ani też jednego wspólnego miernika dla tego, co pożyteczne i pożądane.

Gdy zbiorowość w państwie bardzo się rozrasta liczebnie, gdy szybko powstają wynalazki techniczne, dzięki którym doskonalą się technika pracy, gdy z tym mnożą się, różnicują i komplikują zajęcia i rodzaje pracy i wzmacnia się bardzo ruchliwość ludności, to zacierają się ostre, normami wytknięte granice między stanami i ustrój państwa traci tę wyraźną strukturę, jaką mu nadają te stany.

Nie znaczy to jednak, iżby z tym zniknęły różnice między podstawami egzystencji, poziomami przychodów i trybem życia różnych części ludności. Jeśli normy własności i jej zdobywania pozostają te same, to i przychód społeczny rozkłada się w sposób niezmienny. W dalszym ciągu trwa ten stan, że jedni muszą pracować na chleb, inni zaś otrzymują go bez pracy. I chociaż stanowe zakazy zbytku, *leges sumptuariae*, zostaną zniesione, niemniej robotnik dniówkowy i teraz nie będzie nosił suto haftowanego kaftana i jeździć nie będzie złotą karocą, lecz pozostanie przy swoim lichym chlebie powszednim. Nędzne jego zarobki bez szczególnych zakazów prawnych utrzymują jego tryb życia na najniższym poziomie możliwym.

Rzecz to znana z techniki materialnej, że nieraz formuje się jakiś materiał w sztywnej i twardej ramie, której kształt zachowuje on później, z ramy wyjęty. Tak też się nieraz ma i w zbiorowości ludzkiej. Wyjęta z twardej ramy struktury stanowej, nie rozsypuje się w masę jednorodną, lecz trwa w swym zróżnicowaniu, które podtrzymują teraz częściowo inne niż poprzednio siły.

Ludzie, którzy mają taki sam przychód z takiego samego zajęcia, mają też na ogół taki sam tryb i styl życia oraz takie same interesy. Choć ich nie łączy żadna więź organizacyjna w postaci norm wspólnych, które by regulowały ich pracę i sposób życia, to przecież te interesy wspólnie tworzą podłoże, na którym łatwo może się zawiązać porozumienie i poczucie łączności. Ale nawet bez tej wyraźnej nici łączącej ci ludzie jednego zajęcia i trybu życia tworzą jeden zbiór dla myśli, która bada strukturę danej zbiorowości, podobnie jak dla myśli, która bada strukturę granitu ważne jest to, że w nim rozsiane są czarne czy żółte bryłki o takich samych właściwościach. Ci ludzie, nawet nie związani ze sobą żadnymi normami, tworzą już klasę społeczną, której istnienie jest istotnym wyznacznikiem struktury danej zbiorowości. Charakterystyczne jest dla tej struktury, że w danej zbiorowości jest

właśnie, powiedzmy, liczna klasa samoistnych rolników, nieliczna zaś klasa drobnych rzemieślników albo odwrotnie.

Klasa społeczna zarysowuje się w zbiorowości tym wyraźniej, im jej członkowie mają bardziej wyraźną świadomość, że między nimi zachodzi to wielostronne podobieństwo zajęcia, przychodu, trybu życia oraz interesu. Wtedy powstaje u nich świadomość klasowa i łatwo się zjawia myśl o wzajemnym porozumieniu oraz dążenie do łącznego działania. I gdy ta świadomość klasowa dojrzeje, dochodzi do działania wspólnego wielu członków jednej klasy, którego celem jest zawsze obronić interesy tej klasy lub zdobyć dla niej nowe korzyści. To działanie jest najczęściej zmaganiem, walką z inną klasą czy też z poszczególnymi jej członkami, którzy dla swego interesu starają się pogorszyć sytuację swoich odmiennoklasowych partnerów społecznego kontaktu. Czasem zmagają się tak ze sobą jednostki, które należą do klas odrębnych; kiedy indziej powstaje w jakiejś klasie, najczęściej już nazbyt przyciśniętej przez inną lub przez inne, ruch masowy: chce się ona spod tego nacisku uwolnić i zdobyć sobie korzystniejszą pozycję między innymi klasami. Takie ruchy zaostwiają świadomość klasową i zacieśniają w danej klasie wewnętrzną więź społeczną.

Na ogół biorąc, klasy nie wyodrębniają się tak ostro, wyraźnie i bezspornie, jak to sobie wyobrażają niektórzy ludzie. Naturalną jest na ogół rzeczą, że najemni pracownicy u jednego farmera lub latyfundysty czują i rozumieją łączność między sobą i solidarność. Ale nie jest już rzeczą tak jasną, czy dobrze opłacany kamerdyner tego latyfundysty będzie się w normalnych warunkach czuł solidarny ze źle płatnymi i obdartymi fernalami tegoż pracodawcy. I kamerdyner wprawdzie, i fernal, są sługami tego samego pana; ale taka jest między nimi różnica zajęcia, przychodu i trybu życia, że zależność od jednego pracodawcy nie wystarcza jako czynnik wiążący.

W tym samym zajęciu mogą być różne stopnie precyzji, subtelności chwytu i mistrzostwa: jako przykład wystarczy grajek podwórzowy i światowy mistrz skrzypiec. I sama równa stopa przychodu też nie wyznacza jednoznacznie trybu życia, który zależy przecież od potrzeb, a te mogą być przy tym samym zajęciu bardzo różne.

Niemniej w każdej zbiorowości daleko posuniętej w rozwoju gospodarczym łatwo można z gruba wyróżnić kilka klas odrębnych, w których świadomość klasowa ujawnia się wyraźnie, co najmniej w trudnych chwilach przełomowych. Wtedy nawet ludzie, którzy na codzień nie myśleli o więzach klasowych, zaczynają rozumieć swoje powiązanie klasowe. Pospolita to rzecz w klasach uprzywilejowanych, wiele posiadających: życie tu jest tak bez troski i łatwe, że ludzie nie zdają sobie sprawy, jak bardzo zależą od przywilejów swojej klasy. Tym się tłu-

maczy często ich radykalizm salonowy: poddają ostrej krytyce istniejący ustrój społeczny i państwowy, nie zdając sobie sprawy, że za jego radykalną i nagłą zmianę będą musieli zapłacić swoją pozycją społeczną, majątkiem albo nawet i głową.

Postawa i intencja władcy. Ze swego wyniesienia ponad zbiorowość państwową władca zajmuje wobec niej pewną postawę, na która składa się to, co o tej zbiorowości myśli, jakie względem niej żywi uczucia i jakimi dążeniami się kieruje, rozwijając swoją działalność władczą. Te dążenia w szczególności składają się na intencję władczą. Nie wszystkie działania władcze mają dokładnie tę samą intencję, podobnie jak i działania innych typów: dwa takie same działania mogą mieć różne motywy i cel różny. Ale przeciętna intencja działania jednego typu pozostaje ta sama w odcinku czasu, gdzie się nie zmienia zbytnio ogół warunków i gdzie pozostaje niezmienna postawa emocjonalna względem recypienta działania.

Można sobie pomyśleć, że w granicznym, optymalnym przypadku władca żywi życzliwość powszechną dla wszystkich ludzi: zarówno dla tych, co są pod jego władzą, jak i dla innych. I można też przyjąć, że wnika on swoją myślą głęboko, odważnie i bez zakłamań wewnętrznych w stosunki między ludźmi, stanami i narodami. Wtedy jego intencją władczą będzie czynić możliwie dobrze wszystkim ludziom. Ale ta intencja władcza będzie mu dyktowała zadania ponad jego możliwość.

Po pierwsze dlatego, że działania jego nie sięgają równie skutecznie poza granice jego własnego państwa, a mogą nawet nie sięgać w ogóle, jeśli sąsiednie państwa przewyższają znacznie swoją mocą jego państwo. Po drugie, co gorsza, władcy sąsiednich państw mogą się zgoda nie kierować życzliwością powszechną, lecz przeciwnie, mogą mieć na względzie jedynie dobro swoich własnych poddanych, co może prowadzić do konfliktu, a nawet do wojny. Tam życzliwy powszechnie władca z konieczności zacieśnia swoją intencję władczą i dba o dobro tylko własnych poddanych i ich bezpieczeństwo. Ale nawet i tam będzie się starał nie czynić nic, co by miało krzywdzić niepotrzebnie poddanych innego państwa.

Niemniej, bywa czasem zmuszony czynić coś, co przynosi szkodę poddanym obcego państwa. Aby zapobiec upadkowi jakiejś dziedziny wytwórczości rodzimej, zmuszony jest czasem zamknąć granice swojego kraju dla towarów z innego, w którym wskutek tego tracą one cenę albo zniszczają. W najgorszym zaś przypadku bywa zmuszony w wojnie obronnej lub prewencyjnej nastawać na życie poddanych państwa nieprzyjacielskiego i niszczyć ich dobra dla swojego zwycięstwa. Ale nawet w tej walce jego życzliwość powszechna jest czynnikiem powściągu: stanie ona na straży tego, by wrogom nie zadawać cierpień ponad to mi-

nimum, bez którego nie można unieszkodliwić przeciwnika. Niemniej będzie ona wystawiona na wielką próbę już przez to samo, że będzie musiała dopuścić, by ludziom czyniono krzywdę. Ten władca czuwać przy tym musi bacznie, by w podnieceniu walki nie czyniono przeciwnikowi więcej zła, niż to jest nieodzowne dla zwycięstwa. A przecież obrona tak łatwo i niepostrzeżenie przechodzi w agresję.

Sytuację tego życzliwego powszechnie władcy utrudnia jeszcze w chwilach konfliktu z innymi państwami i to, że jego poddani najczęściej biorą mu za złe, jeśli z uwagi na innych ludzi nie chce działać w ich interesie tak bezwzględnie, jak się im to wydaje konieczne.

Nie mniejsze trudności ma on wewnątrz własnego państwa ze względu na to, że kolidują ze sobą interesy różnych stanów czy też klas. Wprawdzie jeżeli pozostanie bezwładnie w kręgu obiegowych sądów i pojęć swojego czasu, to może on uznawać, że leży to już w naturze rzeczy, iż ludzie mają nierówną pozycję społeczną i że się dzielą na klasy lub stany. I wtedy będzie się tylko życzliwie troszczył o to, by każdy jego poddany miał to, co mu się w jego stanie należy, i aby poziom niczyjego życia nie obniżał się poza pewne minimum.

Ale życzliwość powszechna jest dociekliwa w swym dążeniu do szczęścia dla wszystkich ludzi. I łatwo wychodzi poza obiegowe oceny. Łatwo też dochodzi do wniosku, że bezzasadne są takie różnice stanowe czy też klasowe między ludźmi, które różnym ludziom dają różne szanse szczęścia. Dociekliwy więc i życzliwy powszechnie władca będzie dążył do tego, by wyrównać owe szanse; dostrzeże też łatwo, że interesy tych stanów lub klas kolidują nieraz ze sobą lub wręcz są sprzeczne. Szczególne uprawnienia jednego stanu wychodzą najczęściej na szkodę drugiego i jego istnieją kosztem: gdy rycerstwo wolne jest od podatków, to ciężar utrzymania państwa spada wyłącznie na chłopą i mieszczanina. Ogólnie zaś jest tak, że gdy ludzie dzielą między siebie ograniczoną masę dóbr, to z konieczności rzeczy to, co zabiera jeden, zmniejsza ilość dóbr, jaką można podzielić między innych.

Przed władcą życzliwym powszechnie, staje tedy zadanie trudne niezmiernie. Winien by on wykonywać niezwykle złożony rachunek szczęścia dla wszystkich swoich poddanych i wedle tego rachunku podejmować decyzje władcze. Ale przecież takiego rachunku szczęścia trafnie przeprowadzić na prawdę nie jest w stanie żaden człowiek nawet dla samego siebie; tym bardziej nie może tego dokonać władca całej zbiorowości, w której są ludzie o tak różnych poziomach kultury, potrzeb i stylu życia.

Władca nie może dawać swoim poddanym gotowego przydziału szczęścia, niby ogrodnik, który wyważa równe miary owoców, lub niby pani domu, która nalewa wszystkim domownikom równe porcje zupy.

Władca może co najwyżej dać swoim poddanym równe szanse, iżby każdy z nich sam stworzył na swój sposób możliwie wielką sumę szczęścia. Czyni to władca, troszcząc się o to, by jego poddani mieli w sobie jak najwięcej warunków szczęścia, gdy on im zapewnia maksimum sposobności, iżby zostali wychowani starannie i otrzymali wykształcenie, przy którym rozległa będzie skala potrzeb i ocen; a jednocześnie, gdy troszczy się i o to, by mieli oni dość środków na zaspokojenie tych potrzeb.

Jeśli bowiem budzić będzie tylko potrzeby, nie dając możliwości, by je zaspokajali, to będzie przez to powiększał masy ludzi głodnych i niewyżytych. Jeśli zaś dbać będzie tylko o ich dobra materialne, to może im stworzyć obfitość dóbr bez dobrobytu, który nie polega na samej ilości dóbr posiadanych, lecz zależy również od tego, jaką sumę przyjemności dają człowiekowi te dobra. Niemniej, wystarcza nieraz, jeśli dana jest ludziom dostateczna ilość dóbr: potrzeby budzą się wtedy samorzutnie.

Ale władca czujny i wnikliwy nie może nie wiedzieć, że jego poddani faktycznie nie mają równych szans zewnętrznych, by zdobywać jak największą sumę szczęścia. I nieraz staje wobec takiego układu rzeczy, że nieliczni uprzywilejowani budują sobie wyniosłe piramidy osobistego szczęścia, gdy tymczasem niezliczone masy wegetują w mrocznych podziemiach nędzy. Wtedy jego życzliwość powszechna każe mu wyrównywać te szanse nierówne, przy czym z konieczności rzeczy zwraca się on swoim surowym, lecz sprawiedliwym obliczem ku uprzywilejowanym. Jego życzliwość powszechna nie potępia posiadania dóbr obfitych, jako takiego: w jej dobrotliwych oczach dobrze jest, gdy człowiek ma ich najwięcej, byle nie za tę cenę, że inni nie będą mieli rzeczy najbardziej nieodzownych. Władca umiejętny i naprawdę życzliwy powszechnie będzie się starał przede wszystkim o to, by zwiększyć masę dóbr, z której można by obdzielić potrzebujących: w ten sposób powiększy się suma szczęścia tak, iż nikt nie będzie na tym cierpieł. Ale bywa, że nie podobna dać ogółowi poddanych większego przydziału dóbr, nie odejmując ich części uprzywilejowanym. Jest to zawsze tam, gdzie ci wybrańcy losu zdobywają swoje dobra dzięki pracy i wysiłkowi innych, nie dając im należnego równoważnika. Wówczas ciasnota świata zmusza życzliwość powszechną przycinać nadmiernie wybujałe wierzchołki indywidualnego szczęścia, zwiększając szanse tych, którym los poskąpił swej łaski. Staje się wtedy ta życzliwość surowa dla niesłusznie uprzywilejowanych, którzy powiększają swoją sumę szczęścia kosztem innych. Poza tym natomiast darzy ich takimi samymi względami, jak wszystkich innych ludzi, jest bowiem przecież powszechna. Niemniej, władca, który przez życzliwość powszechną chce ukrócić lub znieść

przywileje pewnego odłamu swoich poddanych, naraża się na ich opór i działania nieprzyjazne.

Ten władca, powszechnie życzliwy, może być całkowicie pochłonięty swoją aktywnością władczą. Życzliwość powszechna nie jest uczuciem gwałtownym, wyładowującym się w silnych erupcjach, ale jest dociekliwa i wytrwała w swoich dążeniach. Łatwo więc stać się może ważną dominantą w życiu władcy, tym bardziej, że nawet przy postawie jak najwyraźniej odsiebnej doznaje on drogą nieuniknionego refleksu dużego i żywego zadowolenia, wadząc dodatnie wyniki swoich wysiłków.

Wszak wielkie doniosłością i zasięgiem swych owoców jest dzieło władcy. Nieraz jest on ostatecznym sprawcą tego, że złocą się pięknym zbożem pola, że łatwo się toczą po lśniąco gładkich drogach pojazdy, że dostatek promieniuje z suto oświetlonych okien w dobrze zbudowanych domach, że zadowolenie i pewność jutra maluje się na twarzach poddanych, którzy spokojni są o swoje bezpieczeństwo.

Władca raduje się wtedy swoim dziełem, jak każdy artysta, który niemal nie widzi świata poza swoimi tworam. I podobnie jak artysta nie ustaje w doskonaleniu swego dzieła, zwłaszcza, że dociekliwa życzliwość powszechna dostrzega wciąż jakieś braki w tym dziele władczym. Tu trzeba zbudować nową drogę, tam trzeba dać ludziom jeszcze lepszą pomoc lekarską, to znowu trzeba odwrócić niebezpieczeństwo, jakie grozi od sąsiadów. Władca więc jest jak dobry gospodarz, który wciąż się krząta na swoich polach i w swoim obejściu.

I w tym może on być podobny to artysty, że może się mało troszczyć o swoje dobra osobiste. Radość, jaką mu daje jego dzieło władcze, może być tak wielka, że niemal nie dostrzega on scenerii swojego codziennego życia. Albo znowu tak wielka i pełna smutku może być jego troska na myśl o niedoli jego poddanych, że nie ma w jego duszy zacisznej enklawy spraw osobistych.

Taką postawę może mieć władca w granicznym, optymalnym przypadku. Jest wtedy na tle wspaniałości swojego tronu nierozmyślnym ascetą, który przypomina mnicha, choć nie składał żadnych ślubów zakonnych. I szczególnie pomyślne jest dla państwa, gdy jego władca nie pożąda dla siebie dóbr, jakie hojną ręką tworzy i rozdaje swoim poddanym. Gdyby bowiem ich pragnął, zwłaszcza nadmiernie, to stałby się zbyt skutecznym współzawodnikiem swoich poddanych, których z natury swej pozycji tak znacznie przewyższa mocą. A słabnie urok władcy, gdy staje on do wyścigu o dobra razem ze swoimi poddanymi.

Ze względu na swoje intencje dobry jest władca już wtedy, gdy się tak kieruje życzliwością powszechną w swoich działaniach władczych. Jest zaś społecznie cenny, gdy kieruje sprawami państwa tak udatnie, że przysparza mu wiele korzyści, choćby to czynił nie z życzliwości po-

wszechnej, lecz z jakichkolwiek innych motywów, na przykład z ambicji władczej, która chce blaskiem mocy otoczyć państwo, by tym samym władcę okryć sławą. Aby zaś władca był tak cenny społecznie, musi mieć umiejętność władania państwem, trudną niezmiennie do zdobycia, jako że tworzywo działań władczych, zbiorowość państwowa, jest zazwyczaj tak liczna i ma tak złożoną i zawikłaną strukturę, iż zgoła niełatwo jest tu przewidywać ogromną wielość powiązanych ze sobą skutków każdego działania; a jeszcze mniej łatwo oceniać prospektywnie ich wartość globalną. Potrzeba do tego co najmniej opartego na nawykach zbiorowych intuicyjnego wyczucia, co jest wskazane w danej sprawie, zważywszy daną chwilę dziejową. A w rzeczach bardzo trudnych i złożonych trzeba wielkiej znajomości ludzi i spraw państwowych, żywej wyobraźni, jasno antycypującej przykre zdarzenia, i myśli twórczej, wydobywającej na jaw różnorakie możliwości.

Gdy ta umiejętność władania łączy się z dobrą intencją, jaką daje życzliwość powszechna, to władca jest tym dobrym pasterzem narodu, jakiego szukają od wieków, niemal od zarania dziejów ludzkich reformatorzy, którzy by chcieli państwo uczynić instytucją naprawdę szczęśliwoną. Już Homer tytułem pasterza narodu obdarza każdego władcę Achajów, choć zapewne to *epithetum ornans* było dworackim pochlebstwem dla ogromnej większości tych miniaturowych władców greckich, co więcej myśleli o potrzebach swego stołu i łoża niż o doli swoich poddanych. A później poprzez całe dwa tysiąclecia marzyli o dobrym pasterzu narodu coraz to inni autorzy utopii i znawcy spraw państwowych. I przedstawiali go właśnie jako tak życzliwego powszechnie i umiejętnego kierownika, który ma z zapomnieniem o sobie prowadzić zbiorowość państwową ku powszechnemu szczęściu doczesnemu wszystkich jej członków. Nieraz też chytry władcy obłudnie starali się stworzyć pozory, że są dobrymi pasterzami swoich narodów. Usłudni zaś dziejopisarze-zausznicy starali się urojenia i roszczenia tych władców uczynić sądem historii. Ale to nie zmieniało faktu, że obraz czy też wzorzec myślowy takiego władcy, odsiebnie życzliwego, żadnym cudem dziejowym nie ucieleśniał się w pełni nigdy i nigdzie. I życiorysy jedynowładców, oczyszczone z nalotu mitów, są raczej gorsząca skandaliczną kroniką przestępstw, niż budującą opowieścią chwalebną.

Władca rzeczywisty. Po pierwsze, władca chyba nigdy nie jest tak oddany sprawie swoich bliźnich, by nie myślał zgoła o tych korzyściach, jakie płyną dla niego z tej racji, że dobrze się wywiązuje ze swych badań władczych. Prawo refleksu obejmuje i jego; daje mu korzyści, których nie może nie zauważyć, a tym samym niemal w ogromnej większości przypadków nie może ich nie pragnąć, lub co najmniej nimi się nie cieszyć. Sama pozycja władcza wynosi człowieka ponad

innych, otacza go nimbem majestatu, czyni go niemal istotą innych wymiarów niż ludzie pozostali, jego poddani. A to przeważnie raduje władców, bo zaspokaja ich dążenie do wyróżnienia i przodowania, znane jako ambicja u ogromnej większości ludzi. I władca, przyjmując od swoich poddanych czołobitne hołdy, w których jest zresztą wiele utajonej przesady, obłudy, pochlebstwa i dobrze ukrytej ironii, sam nieraz naprawdę zaczyna wierzyć, że jest z innej gliny niż jego poddani.

Toteż w dziejach monarchów i jedynowładców nierzadkie jest urojenie wielkościowe. Nieraz znajduje ono nieszkodliwy wyraz w tym, że władca otacza się pompatycznym ceremoniałem dworskim i już za życia wznosi sobie piramidalny grobowiec. Ale nieraz posuwa się też dalej w pielęgnowaniu swego majestatu i każe tropić przekornych nonkonformistów, którzy nie potrafią, czy też nie chcą dzielić jego urojenia. Wtedy proces o obrazę majestatu staje się jedną z głównych instytucji jedynowładczego ustroju.

Choćby władca nie wiedzieć jak odsiebnie troszczył się o dobro swoich poddanych, to przecież same niejako przychodzą też do niego korzyści gospodarcze, związane z jego ponad innych wyniesieniem. Rzeczywista wdzięczność poddanych przynosi mu bez norm i nakazów cenne dary, których nie może odrzucić, nie obrażając darczyńcy. A chytre wyrachowanie poddanych pomnaża znacznie liczbę tych darów, które w rachubie ofiarodawców mają im pozyskiwać przychyłność władcy, albo być wręcz generalnym i perspektywnym kubanem za przyszłe, może dziś jeszcze nie określone dobrodziejstwa.

Jednocześnie zaś władcy przypadają w udziale liczne i wielkie dobra, mocą ogólnych norm związanych z jego pozycją władczą. Najczęściej już po swoich przodkach dziedziczy pałace, zamki, królewszczyzny, które stawiają go w rzędzie najbogatszych ludzi w jego państwie. A normy prawne tego państwa zapewniają mu stały dochód ze skarbu państwa, lub też daniny i świadczenia, które mu pozwalają rozwinąć splendor codziennego trybu życia, jakiemu nie może dorównać wspaniałość najbogatszych wielmożów jego kraju.

I nawet najbardziej osobiście skromny i ascetyczny władca mimo woli wchodzi w ramy tego przepychu na codzień. Jeśli naprawdę całym sercem zajęty jest sprawami swego państwa i swoich poddanych, to nie znajdzie czasu i energii, by zamiast wspaniałego pałacu, jaki zastał po swoich poprzednikach, budować dla siebie skromny dom lub chatę, podobne do tych, w jakich spędzają swoje nędzne życie najlichsi spośród jego poddanych. W najlepszym razie ograniczy oszczędnie wydatki swojego monarszego domu i przygasi nieco blask jego zbytku i przepychu. Ale nawet przy całej przyrodzonej skomności będzie wystawiony na

próbę, że stopniowo nawyknie do umiarkowania wystawnego trybu życia i że go zacznie cenić.

Ale w dziejach ludzkości niezmiernie rzadkimi wyjątkami byli władcy, tak pochłonięci troską o dobro powszechne, by tylko z pewnym zadowoleniem biernym przyjmować korzyści, jakie mimo ich woli płyną z ich pozycji władczej. Znacznie częstszą jest rzeczą, że władca świadomie pragnie tych korzyści i że uwaga jego się dzieli między sprawy publiczne a jego prywatne. Wtedy w sprawach państwowych kształtuje on swoje decyzje w ten sposób, by z nim łączył się największy jego własny pożytek. A gdy mniej jest surowy i czujny względem siebie, to gotów jest mniejszą nieco korzyść dla państwa połączyć z nieco większą korzyścią własną. Choćby kosztem dodatkowych ofiar w ludziach i mieniu przedłużyć walkę z wrogiem, by bardziej efektowne stało się jego zwycięstwo.

A nieraz jego życzliwość powszechna zbyt jest słaba, by mogła się oprzeć naciskowi pragnień, wyraźnie dosiebnych. Tak na przykład, gotów jest nieraz uwikłać swoje państwo w spór dynastyczny, z którego poddani nie wyniosą żadnej korzyści nawet w przypadku, gdy władca zdobędzie drugą koronę, a wiele stracić mogą, jeśli dojdzie do wojny i porażki.

Zresztą władca raczej rzadko żywi naprawdę życzliwość powszechną dla swoich poddanych, choć dobro powszechne i miłość ludu ma wciąż na ustach. Częściej myśli o interesach tego stanu, z którym jest najbardziej związany interesami i kontaktem osobistym, a więc stanu uprzywilejowanego, rycerskiego lub szlacheckiego. Możliwe, że tylko ludziom tego stanu przyznaje on pełnię godności ludzkiej i rzetelnie pragnie ich dobra: jest wtedy raczej królem szlachty niż narodu. Ale i o tę szlachtę może dbać nie przez życzliwość bezinteresowną, lecz z wyrachowania: zdaje sobie sprawę, że w niej ma oparcie jego moc społeczna i władcza, więc pragnie ją związać ze sobą wspólnymi korzyściami. Gdy zaś szlachta w nadmiernym dobrobycie wyzbędzie się ducha rycerskiego i przestanie być ramieniem zbrojnym władcy, pilnując tylko swoich przedawnionych przywilejów, może się on zwrócić ku innemu stanowi, od którego oczekuje poparcia w swej cichej lub jawnej walce ze stanem, teraz już tylko pasożytniczym. Często wtedy wybrańcem władcy staje się mieszczaństwo, nieraz już nie mniej zamożne od szlachty, a często bardziej od niej oświecone i uspołecznione.

Ale bywa też, że władca z przyrodzenia oschły w swoich uczuciach przyjaznych, nie żywi zgoła żadnej ciepłej życzliwości dla poddanych; albo, że wręcz ma wyniosłą wzgardę dla masy, której nie zna i z którą się nie styka. Nie żywiąc żadnych uczuć dla swoich poddanych jako jednostek, może on niemniej nawet bardzo aktywnie dbać o interesy swo-

jego państwa jako całości. Można jak wiemy żywić jakieś uczucie dla całej grupy, nie mając go dla poszczególnych jej członków. Można też nawet bardzo pilnie dbać o interesy grupy, nie mając życzliwości szczególnej dla jej członków.

Reżyser sceniczny, powiedzmy, dba nie tylko o to, by aktorzy znali dobrze swoje role, lecz i o to nawet, by nie chorowali: zależy mu bowiem na tym, by się zjawiali na przedstawieniu w komplecie i w dobrej kondycji. Ten reżyser, być może, nie żywi żadnych zgoła uczuć dla poszczególnych aktorów; ale chce, by jak najlepiej wypadło każde przedstawienie. Stąd pozór jego indywidualnej troski o każdego aktora, która tutaj wyraźnie jest postawą pochodną i wypływa z zainteresowania całym grającym zespołem. Gdyby nasz reżyser miał niewyczerpaną rezerwę dublujących aktorów, to zmniejszyłaby się znacznie, albo wręcz zniknęła jego troska o jednostki.

Podobnie rzecz się może mieć z władcą. Państwo jako całość może być jego tworzywem: rzeczą, na której rozwija on swoją aktywność władczą i w której może pokazać swoją moc i organizacyjny talent. Tę aktywność władczą może on lubić tak samo, jak ktoś inny lubi, powiedzmy, żeglować lub grać na fortepianie. Interesuje się wtedy swoim tworzywem jako całością; elementami zaś tego tworzywa tylko pochodnie i względnie. Ale z zewnątrz trudno to nieraz poznać, i umiętny władca może stworzyć pozór przeciwny, że to dla dobra poddanych pragnie potęgi państwa. Że to jest pozór, to staje się jasne w pewnych sytuacjach szczególnych; tam na przykład, gdzie w rozumieniu władcy trzeba uciskiem utrzymać w posłuchu ludność podbitą ku zwiększeniu potęgi państwa.

A bywa również, że władca wręcz głosi jawnie, niby nową ewangelię, iż tylko grupy mają wartość same w sobie i przez się, nie zaś jednostki, z których się one składają. Taką grupą, cenną samą przez się, jest w jego rozumieniu przede wszystkim państwo, które ma prawo żądać od jednostek niczym nie ograniczonych ofiar. W jego tak entuzjastycznym i krańcowym ujęciu rzecz wygląda tak, jak gdyby istnienie tej grupy mogło być cenne, choć żadna w niej jednostka nie miałaby być cenna i nie osiągała szczęścia indywidualnego. Takie ujęcie rzeczy władca lub też rzeczoznawca, jego zausznik, nazywa uniwersalizmem i przeciwstawia je wzniosle i wyniośle niskiej dbałości o szczęście jednostek. Tak właśnie uczeni prawoznawcy niemieccy przygotowali podstawę dla faszystwu i imperiaлизmu.

Że jednak żadna rzecz nie jest i być nie może cenna sama przez się, lecz zawsze jest cenna w czyichś oczach i w czyjejs ocenie, więc i tutaj tak samo musi być zrelatywizowana wartość państwa. I łatwo tu ustalić, że to w oczach władcy państwo ma tę pozornie absolutną wartość, co jest

wyrazem tego, iż jemu zależy na istnieniu państwa jako całości, jako tego jedyne go przedmiotu, na którym on, władca, rozwija i chce nadal rozwijać swoją aktywność władczą.

Podobnie jak jeździec dba o swego jedyne go wierzchowca, bez którego skończyć by się musiały jego konne spacer y, tak też dba jedynowładca o państwo, bez którego nie byłoby jego władzy. Istnienie tego państwa jest dobrem dla niego; ale w swoim niby uniwersalistycznym ujęciu żąda on od swoich poddanych, by jego dobro uznali za dobro powszechne, a tym samym rezygnowali z wszelkiego rozsądnego rachunku szczęścia, który byłby próbą jego działalności władczej.

Tą swoją uniwersalistyczną koncepcją władca chce się uchylić od wszelkiej odpowiedzialności i zależności wobec swoich poddanych. W jej świetle bezosobowe państwo jest pozornie bóstwem, które może żądać od jednostek wszelkich ofiar ich osobistego szczęścia. W rzeczywistości zaś tym okrutnym bóstwem chce niepostrzeżenie być sam władca, wyzwo lony z wszelkich powściągów, ograniczeń i więzów. Wola jego ma być jedynym prawem dla jego poddanych, a tym samym on ma być ich panem absolutnym.

I w długich dziejach ludzkości wielu było takich władców absolutnych, którzy przed nikim nie zdawali sprawy ze swoich poczynań, czasem pożytecznych dla zbiorowości państwowej, czasem znowu wręcz szaleńczy ch i zbrodniczych. Zdarzały się wśród nich jednostki o charakterze łagodnym lub też wewnętrznie opanowanym, o pragnieniach opanowanych lub powściągniętych, a nawet takie, co naprawdę chciały dobrze czynić poddanym. Ale były też wielokroć liczniejsze takie, co nie znały granic dla swoich żąd z kapryśnych i co nie cofały się nawet przed zbrodnią, krzywdzącą całe masy. Do takich należą również ci władcy, którzy idąc za swoimi wierzeniami, nie cofali się przed masową rzezią własnych poddanych w jakąś noc św. Bartłomieja; i ci bojownicy zapamiętali, którzy bez miary wylewali krew obcych i swoich, za co dziejopisarze kładli im wieńce wielkości i sławy; i ci wreszcie, co z jednostkami zbrodnią bezkarną załatwiali swoje porachunki.

Ponury jest ten korowód zbrodni i szaleństwa na tronie. Każdemu z tych władców absolutnych była dana moc ponad ludzką miarę. Każdy z nich stawał jak gdyby przy tablicy rozdzielczej wielu potężnych sił, które mógł wyzwalać słabym, a nawet nieudolnym, czy też wręcz szaleńczym ruchem jedne go palca. Impulsy instynktowne, które u człowieka pod kontrolą społeczną giną w zaczątku, powściągnięte wstydem lub strachem, u władcy absolutne go nie tylko nie znajdują żadnej zapory, lecz przeciwnie, znajdują posłuszne ze strachu lub wyrachowania ciało wykonawcze, które nieraz błyskawicznie stwarza fakty dokonane. Przelotne pragnienie, które u przeciętne go człowieka zostałoby natychmiast

opanowane powściągiem rozsądku, u władcy staje się łatwo natarczwym pożądanym, które zaspokoić może pochlebny i usłużny dworak, nie cofając się nawet przed gwałtem lub zbrodnią: wie on, że za nie ukarany nie zostanie.

Toteż około władcy, który nie potrzebuje przed nikim zdawać rachunku, łatwo się tworzy krąg krzywdy i zbrodni. I czynią one jego osobę przedmiotem nienawiści, którą tylko strach może powstrzymać od działania. Strach musi być stróżem absolutnego władcy. Zagrożony w swym bezpieczeństwie osobistym, taki władca widzi wrogów w swoich poddanych; i w granicznym przypadku jego aktywność władcza nie ma już na oku ich dobra, lecz tylko obronę własnej osoby.

Obawa o własną osobę i strach przed poddanymi wzrasta w miarę, jak się mnożą czyny szkodliwe władcy. Nieraz nie wytrzymują napięcia jego nerwy: Tyberiusz staje się szaleńcem, który już zupełnie gubi rachunek swoich czynów. Jego nienawiść do poddanych i strach przed nimi nie zna już granic: niebezpieczny wróg ludzi siedzi na zamku królewskim na Capri.